Nie uważam swojej roli pisarza za misję, jest to zwierciadło mojej burzliwej natury, osobowości i bezgranicznego głodu świata – mówi **Jacek Pałkiewicz**, autor ok. 30 książek. Najnowszą, „Palkiewicz.com", wydał w ubiegłym roku. Na zdjęcie podczas spotkania autorskiego w Teatrze Nowym w Łodzi, październik 2020 r.

WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

50 LAT W DRODZE

JACEK PAŁKIEWICZ

Żyłem bez granic, byłem naocznym świadkiem niezwykłych wydarzeń, spenetrowałem świat, którego już nie ma, poznałem ludzi, których nie sposób zapomnieć. Traktuję życie jak jeden nieustanny sukces i czuję się doceniony – mówi dziennikarz i podróżnik Bogusławowi Chrabocie.

50 lat łączenia dziennikarstwa i eksploracji to niezłe osiągnięcie. Co było dla ciebie w życiu trudniejsze: podróże czy pisanie?

Ani jedno, ani drugie nie jest łatwe. Podróże reporterskie poza granicami znanego świata wymagają pasji i energii. To ciężki kawałek chleba, gdzie codziennością są spartańskie warunki, niepewność, niedostatek wody, upały i wysiłek fizyczny. Nieraz bywałem w przedsionkach piekła, np. na Saharze powalała mnie furia wiatru chamsin, który jak miotacz ognia osusza nawet najbardziej wytrzymały organizm. Bezkres nieba przerażał i wprawiał w osłupienie. Bywałem niekiedy żałośnie bezbronny, zmuszony toczyć walkę nie tylko z arcygroźną naturą, ale także z samym sobą i własnym lękiem. Nigdy nie jawiła mi się tak namacalnie własna słabość. Intensywnych przeżyć i strachu nie brakowało.

Czułeś się wtedy jak bohater Conrada?

Nie, czasem porównuję siebie do Pana Cogito Zbigniewa Herberta. To przemierzający świat człowiek, który analizując podstawowe zagadnienia egzystencji, problemy moralne i etyczne, potrafi uczynić użytek z własnego rozumu. Myślę, że mogę powiedzieć o sobie, że w podobnym sensie jestem wiecznym podróżnikiem. Tylko że jego peregrynacja odbywała się w czasie i była wielką metaforą istnienia, moja wędrówka ma zaś charakter dosłowny. I oznacza nie tylko przekraczanie granic państw i kontynentów, ale także otwarcie na świat i drugiego człowieka. Takie doświadczenia wzbogacają duchowo, pozwalają akceptować inność i uczą dystansu do własnych problemów.

A jak się ma do tego wysiłek pisania?

W końcu pisanie przynosi zawsze satysfakcję, gorzej jest w momencie, kiedy chwytam za pióro. Piszę do późnej nocy, nie odbieram telefonów, nigdzie nie wychodzę, ignoruję niedziele i inne święta. Jestem wyrobnikiem, piszę powoli i nie potrafię przelać na papier czegoś, czego nie widziałem i nie przeżyłem. To męcząca czynność, bo łamię sobie głowę nad stworzeniem właściwej struktury, nie zawsze znajduję odpowiednie słowo, często sięgam do słownika synonimów. Po stokroć naprawiam koślawe zdania, pracuję nad finalną kosmetyką. A ileż bywało nieczytelnych notatek w moleskinie, bo zamókł w wilgoci tropikalnej dżungli. Nie uważam swojej roli pisarza za misję, jest to zwierciadło mojej burzliwej natury, osobowości i bezgranicznego głodu świata. Artykuł po artykule, książka po książce i zrobiło się z tego 50 lat historii.

Do czego podchodziłeś z większą pasją?

Bez wątpienia do podróży, które są esencją mojego życia, a nawet więcej – motorem mojej aktywności. Tym wszystkim dzielę się potem z czytelnikami. Te sfery zwykle były bliźniaczo związane. Chociaż trafiały się np. wyprawy szkoleniowe czy jakieś inne misje, które z różnych przyczyn nie kwalifikowały się do relacji reporterskich.

Najwięcej w życiu pracowałeś z włoską prasą. Jaka była, kiedy zaczynałeś?

To były wiekopomne i mityczne lata włoskiego dziennikarstwa: 80 dzienników o zasięgu krajowym i regionalnym, 6 mln egzemplarzy gazet każdego dnia. Złote lata reklamy, sprzedaży. Fenomen wydawniczy nie miał sobie równych w Europie. Rozrastały się redakcje, powstawały wciąż nowe tytuły zaspokajające kolejne sektory, wiele periodyków zasypywało czytelników przeróżnymi gadżetami. Profesja uważana była za ponadprzeciętną i do dobrej gazety można było zwykle trafić z polecenia zaprzyjaźnionego senatora czy hierarchy kościelnego. Mnie się powiodło. Po skończeniu szkoły dziennikarskiej w Mediolanie trafiłem na praktykę do popołudniówki „La Notte". Ubrany w garnitur stanąłem przed znanym z twardej ręki Ninem Nutriziem, wszechmocnym redaktorem naczelnym, który stworzył z niczego gazetę, w której sprawował absolutną władzę. Zatwardziały antykomunista, żywił przekonanie, że lepiej jest zatrudnić homoseksualistę, złodzieja, oszusta niż „czerwonego pająka". Pogrążony w lekturze, spojrzał swoimi niebieskimi oczami na mnie: „Jak ci się udało zbiec z Polski?" – zapytał sucho, nie pozwalając sobie na sentymenty i słabości. Nie było żadnych negocjacji, żadnej dyskusji między nim a mną. Po kilku minutach w milczeniu skinął głową i westchnął: „Dobrze, od jutra rano możesz przychodzić i zgrywać dziennikarza w dziale miejskim. Jeśli będziesz się dobrze sprawować, za pół roku, za rok postaramy się dać ci godziwą zapłatę. Jeśli jesteś palantem, żegnaj, jasne?". Było jasne.

Nie bali się angażować nikomu nieznanego Polaka?

Zaczynałem z najniższego pułapu: czarnej kroniki miejskiej, tzn. policja, wypadki, narkotyki, zabójstwa. Dział ten sam w sobie był gazetą w miniaturze. Pierwszego dnia byłem w redakcji o szóstej rano. Zastępca szefa działu polecił: „Jedź zobaczyć kobietę, która wypadła z okna i zadzwoń natychmiast. Jeśli to coś koszmarnego, wyślemy tam kogoś". „Czego tu, k..., szukasz?" – potrząsnął mną brygadier z

miejscowego komisariatu, blokując przejście dla niezbyt pewnego siebie żółtodzioba. Żyłem wtedy impetem reporterskiego sępa, cynicznego sukinsyna, który grzebał w zwłokach, poszukując jakichś osobistych pamiątek, pobudzał ludzką wyobraźnię krwawymi opowieściami, ścigał się z konkurencją, aby przybyć pierwszym na miejsce strzelaniny, albo robił podchody do prostytutek, zawsze znakomitych informatorów policji i dziennikarzy. Bywało, że gdy dotarłem vespą na miejsce wypadku, nadjeżdżało z piskiem opon, z włączonymi światłami, służbowe auto „Corriere della Sera". Z kierowcą, fotografem i dziennikarzem, który wyskakiwał z drzwi, jak w amerykańskich filmach. Wtedy zrozumiałem, dlaczego mówiło się, że włoscy dziennikarze dzielą się na dwie kategorie: tych, którzy byli w „Corriere", i tych, którzy marzyli, aby tam się dostać. W kilka miesięcy później ta kultowa gazeta otworzyła dla mnie podwoje.

Jakie mieli oczekiwania?

Powstał jej dodatek ilustrowany „Sette", którego atutem miał być ekskluzywny reportaż fotograficzny, pełen magnetyzmu i ekstremalnego kolorytu. Egisto Corradi, legendarny wysłannik zagraniczny mediolańskiej gazety, na którego wykładach w szkole dziennikarskiej siedziałem zwykle w pierwszych ławkach, zaproponował mi współpracę, doceniając moje wcześniejsze pełne przygód reportaże w różnych magazynach. Wychodzący w nakładzie 700 tys. suplement zamierzał przywrócić wartość reportażu. Zakładał pozyskanie publiki nie tylko frapującymi tekstami, ale i zjawiskowymi ilustracjami. Oczekiwano ode mnie osobistych przygód i kuszących wyzwań. Czytelnik miał na własnej skórze odczuć mój strach i otrzeć się o granice ludzkiej wytrzymałości oraz determinacji. Miał dzielić z bohaterem chwile niepokoju, zdumienia, refleksji, artykuł musiał wywołać jego spontaniczną empatię. Doskonale pamiętam dreszcz emocji na widok pierwszego zamieszczonego tam tekstu z moim nazwiskiem. Miałem prawo być dumny.

A jak z finansowaniem tekstów, a potem wypraw? Płacili, czy musiałeś sam sobie radzić?

Na różnych etapach różnie to wyglądało. Wypłacano mi pełną kwotę na podstawie kosztorysu albo dostawałem zaliczkę i rozliczałem się rachunkami. Na hotel ani na wyżywienie nie było limitów, co w Polsce jest trudne do uwierzenia.

Pamiętasz debiut?

Pamiętam nie tyle debiut, co pewien charakterystyczny fakt. W 1992 r. redakcja wysłała mnie do Kambodży, abym zrobił reportaż o włoskich karabinierach, którzy w ramach pokojowej misji ONZ mieli pomóc narodowi w podźwignięciu się z tragicznej przeszłości. Włoski dowódca odmówił współpracy, bo nie miałem zgody ministerstwa. Napisałem więc o stacjonujących tam Polakach. Po publikacji artykułu do redakcji zadzwonił rzecznik ministra obrony rozżalony, że nie wspomniałem o Włochach. 22 grudnia Claudio Sabelli Fioretti, naczelny redaktor, równoczesna inkarnacja Pana Boga, Króla Słońce i Kadafiego, zadzwonił do mnie, czy następnego dnia mógłbym polecieć do Phnom Penh, bo chce, żeby materiał ukazał się jeszcze w ostatnim tygodniu roku. Poczułem się z tym źle. Znowu przez pieprzony artykuł zdradzam żonę, synów i wartości, które powinny mieć w życiu znaczenie... A przecież nie raz zaklinałem się, że już nigdy więcej. Normalny człowiek Boże Narodzenie spędza tradycyjnie z rodziną. Nie mogłem jednak zawieść zaufania redakcji, z której byłem taki dumny. „Va bene, direttore" – rzuciłem do słuchawki – „o której godzinie będzie taksówka na lotnisko?". Byłem potrzebny i to się liczy, nic więcej nie istnieje. My, reporterzy, często robimy jakieś głupstwa, codziennie rzucamy wyzwania i nieustannie szukamy adrenaliny, wyłączności, jakiegoś hitu, przewagi nad konkurencją. Taka jest nasza natura. Dziennikarz jest jak skorpion ze słynnej przypowieści afrykańskiej, który prosi żabę o przeniesienie go na drugi brzeg rzeki. Jednak w połowie drogi kąsa ją śmiercionośnym żądłem, skazując na śmierć także siebie. A kiedy żaba tuż przed zgonem pyta o przyczynę, skorpion odpiera: już taka moja natura. Tym razem żona Linda okazała, jak zawsze, swoją niewyczerpalną wyrozumiałość.

Jak przebiłeś się do wyobraźni zbiorowej we Włoszech?

Zaistniałem szeroko w mediach w 1975 r. po przepłynięciu Atlantyku łodzią ratunkową w charakterze dobrowolnego rozbitka, a w 1981 r. szeroko rozpisywano się o mojej szkole survivalowej. Potem doszedł film „Noi uomini duri" („Twardziele") o mnie i o tej właśnie szkole. W międzyczasie drukowałem cieszące się powodzeniem reportaże.

Jeśli porównywać te stare włoskie media z tym, co mamy dziś, to jakie różnice najbardziej rzucają się w oczy?

Moja przygoda z dziennikarstwem nie wytrzymała konfrontacji z głębokim kryzysem tej profesji. Wszystko wydawało się krystaliczne, dopóki nie stanęliśmy przed epokową zmianą zawodu. 30 lat temu byliśmy zauroczeni rewolucją cyfrową i zrodzonym z niej światem internetu z witrynami informacyjnymi, sieciami społecznościowymi i newsletterami. Jednak to właśnie one spowodowały, że ambitniejsze pisanie znalazło się pod presją polityki i gospodarki. Sieci społecznościowe zostały zalane śmieciem. Trudno tu odróżnić fałsz od prawdy, a obiektywizm to tylko jedna z opcji.

Kto był dla ciebie wzorcem?

Na początku kariery byłem wpatrzony w Waltera Bonattiego. To jeden z największych alpejskich wspinaczy, który wyprzedzał swoje czasy. Porzucił góry, aby poświęcić się reportażowi fotograficznemu. Od 1954 r. przez 16 lat drukował swoje materiały w prestiżowym tygodniku „Epoca". Miałem przyjemność poznać bliżej wybitnego włoskiego publicystę Indra Montanelliego, którego pod względem kultury i znajomości historii porównywano do Winstona Churchilla. Przyjaźniłem się z cenionym dziennikarzem ekonomicznym Paolem Bonaiutim, późniejszym doradcą Berlusconiego.

A podziwiałeś Orianę Fallaci? W Polsce jest legendą. Jaki był jej status w Italii?

Miała znakomite nazwisko, zawsze zaciekle walczyła o wolność intelektualną. Wzmacniała ton zwłaszcza wtedy, gdy jej zdaniem należało to robić na przekór konformizmowi. Miała styl: twardy, nieubłagany, ostry. Ale rangę najsłynniejszej włoskiej dziennikarki na świecie osiągnęła dopiero po 11 września 2001. Surowa, ale prawdziwa, gwałtowna i realistyczna, podzieliła opinię publiczną. Była jednakowo kochana i nienawidzona, odrzucana przez antyglobalistów, oskarżana o rasizm, trzymana z dala od polityków, ponieważ zdaniem wielu jej tezy były skierowane przeciw solidarności i wolności lewicy. Nawet ci, którzy napiętnowali ją jako okrutnego buntownika, skandalistę czy piromana, kupowali jej książki. A sprzedała ich 20 mln na całym świecie. W ostatnich latach życia za bezwzględną krytykę inwazji islamskiej w Europie znalazła się w centrum skrajnych kontrowersji, wręcz na indeksie za wyrażanie niewygodnych i „wątpliwych" myśli. Historia jednak się odwróciła. Po jej śmierci coraz częściej słyszymy: „Przepraszamy Oriano, miałaś rację". Ja nie muszę się dopisywać, bo od dawna byłem jej ambasadorem.

Jak postrzegano z tamtej perspektywy polski świat dziennikarski? Czy się liczył? Jakieś nazwiska? Kapuściński?

Nikt nie znał polskiego dziennikarstwa. Nawet Kapuścińskiego, który jednak cieszył się popularnością jako pisarz literatury faktu, nie dziennikarz.

Czy można odpowiedzialnie powiedzieć, że poprzednie pokolenie różniło się in plus umiejętnościami, kompetencjami?

Nie mam wątpliwości. Wysoki poziom życia, postęp technologiczny, świat nadmiaru i wielorakich bodźców – wszystko to przyczyniło się do tego, że ludzie wydelikatnieli, stracili pazury, nie potrafią mierzyć się z trudnościami, gubią się przy pierwszej przeciwności losu. Ponadto, feminizacja życia odebrała mężczyznom nie tylko spodnie, ale i poczucie pewności siebie, godność i siłę.

Kiedy wróciłeś do Polski?

Po wielu latach nieobecności trafiłem do Warszawy na początku lat 80. Od tamtej pory przyjeżdżałem częściej lub rzadziej. Przez całą pandemię skrywam się w Polsce, bo tu czuję się odrobinę bezpieczniej. Któregoś dnia, w latach 90., lądując na Okęciu, w roztargnieniu okazałem włoski paszport, ale oficer Straży Granicznej poprosił o polski dokument. Po wręczeniu uśmiechnął się szeroko: „Witamy w ojczystych progach". Wzruszył mnie do głębi serca tym przywitaniem. Przypomniał, że taki wagabunda jak ja, polacco-italiano, obywatel świata, ma swoją ojczyznę. Gdy pół wieku temu wyemigrowałem, aby otworzyć sobie drogę do odkrywania świata, o którym śniłem od dzieciństwa, peerelowska władza nazwała mnie marnotrawnym synem narodu.

Świat jakiego dziennikarstwa zastałeś w kraju?

Byłem pozytywnie zaskoczony europejskim poziomem, widziałem dużo dobrych piór.

Przyjęto cię z otwartymi rękami, czy byłeś zagrożeniem dla gwiazd epoki postkomunizmu?

Nikt nie okazywał estymy, ale prawie wszystkie duże redakcje chętnie drukowały moje materiały. Ale niejednego dziennikarza kłuła w oczy moja autorska obecność na łamach prasy międzynarodowej. Niektórych po dzień dzisiejszy razi, że jestem dobrze widziany przez mężów stanu i dostojników Kościoła, że mogę umówić się na kawę czy lunch z liderami prawicy i lewicy, ludźmi, z którymi mogę się zgadzać i równie dobrze wieść spory. Dwaj prezydenci, należący do przeciwstawnych ugrupowań politycznych, nadali mi państwowe odznaczenia, oba za rozsławianie imienia Polski w świecie. W dobie globalizacji odbieram to jako wzór nowoczesnego patriotyzmu. Przeżywam jednak, że do niedawna wiodący kraj wschodniej części UE na własne życzenie przestał się liczyć. Na salonach Europy uważa się, że staliśmy się kulą u nogi.

Obserwujesz polskie media od 1990 r. Jakie zaszły zmiany, także w sensie wyedukowania ludzi, posiadanych umiejętności zawodowych, otwartości głów?

Średnio biorąc, polskie media wyróżniały się wtedy wyższym poziomem intelektualnym. Z czasem zeszły do średniego europejskiego poziomu.

Czujesz się doceniony?

Dzisiaj kasta sztucznie wyniesionych na ołtarze celebrytów nie pozostawia miejsca dla uznanych autorytetów. Traktuję życie jak jeden nieustanny sukces i z różnych powodów czuję się docenionym. Moje teksty są drukowane i w „Rzeczpospolitej", i w „Sieci", w katolickiej „Niedzieli" i lewicowym „Przeglądzie". Tak w prasie prorządowej, jak i niezależnej. To dla mnie chluba, jestem dumny, że mogę cieszyć się całkowitą niezależnością i stać ponad wszelkimi podziałami partyjnymi, które dzielą społeczeństwo, w czym wielu niedowartościowanych kolegów widzi uprawianie prostytucji. Mam ponadto rzeszę wiernych czytelników moich książek. „Pasja życia" doczekała się kilkunastu nakładów i wysoko oceniają ją trzy pokolenia. Laurem jest fakt, że moje imię przyjęła na swojego patrona szkoła podstawowa w Mostach na przedmieściu Lęborka. Mam dużo satysfakcji, kiedy na spotkaniach autorskich w małych miasteczkach widzę zapełnione sale. Znają mnie i w Rosji, i w Peru, gdzie otrzymałem zaszczytne odznaczenie za odkrycie źródeł Amazonki.

Jakie widzisz dziś przed sobą wyzwania?

Jestem jednym z niewielu uczestników życia publicznego, którzy mają śmiałość iść pod prąd i głośno skłaniać do ocieplania stosunków dobrosąsiedzkich z Rosjanami. Ponadto, nie pozostając bierny wobec kłótni narodowych, postanowiłem zainspirować patriotyczny projekt kruszenia murów w umysłach zwaśnionych rodaków.

A może czujesz się zmęczony chaosem, jazgotem internetu?

Nie jestem tym szczególnie przymulony, ale na pewno zniesmaczony.

Jaka jest przyszłość w Polsce i świecie dla takich ludzi jak ty – dziennikarzy-podróżników?

Żadna. Nie ma już dzisiaj prawdziwych wzorców, liderami opinii stali się wykorzystujący płatne promowanie influencerzy.

A jakie podróże chciałbyś jeszcze w życiu odbyć? Jest jeszcze coś, do czego cię ciągnie?

Powiem tak: jestem spełniony. Żyłem bez granic, byłem naocznym świadkiem niezwykłych wydarzeń, spenetrowałem świat, którego już nie ma, poznałem ludzi, których nie sposób zapomnieć. Temat ekstremalnych eksploracji pozostał już za mną, teraz wojażuję z przedkładającą komfort nad przygodę Lindą, która wcześniej nigdy nie odważyła się ruszyć ze mną w drogę.

Jakbyś chciał przejść do historii polskich mediów?

Nigdy o tym nie myślałem. ©℗

Jacek Pałkiewicz (ur. 1942) – dziennikarz i podróżnik, członek rzeczywisty Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Dociekliwy i zachłanny świata reporter, który przez dziesiątki lat poszukiwał osobliwości ginących cywilizacji. Eksplorator Atlantyku i Amazonki, specjalista od karkołomnych wypraw i przełamywania barier. Przecierał szlaki na Borneo i Nowej Gwinei, na Saharze i na najdalszych kresach Syberii. Zabierał swoich czytelników poza granice znanego świata. Wydał około 30 książek, najnowsza, „Palkiewicz.com", ukazała się w październiku 2020. Najpopularniejsze, „Pasja życia" i „Syberia", doczekały się kilkunastu wydań. Magazyn „Press" umieścił go na czwartym miejscu najczęściej tłumaczonych polskich autorów za granicą. Najważniejsze swoje teksty zgromadził na stronie palkiewicz.com